



MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO



Groza nie czytać!

Opowiadanie z okazji jubileuszu X-lecia

Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny”

napisane podczas Nocy Muzeów oraz Nocy Bibliotek

Autorzy (laureaci oraz jurorzy konkursu, w kolejności dodanych fragmentów):

Krzysztof Szkułatowski, Bogna Zubrzycka, Lidia Zdzitowiecka, Magdalena Topp, Tomasz Fopke, Lucyna Kurpiewska, Bogumiła Richert, Jan Plata-Przechlewski, Henryk Połchowski, Danuta Balcerowicz, Ewelina Magdziarczyk-Plebanek

Wejherowo 2015

Praca muzealnika w miasteczku powiatowym nie jest może szczytem marzeń każdego absolwenta studiów historycznych, ale Marek Kurpiecki ją lubił. Codzienne obcowanie z przeszłością sprawiało mu przyjemność. Godziny spędzane w towarzystwie szklanych i celuloidowych negatywów, pięknych dagerotypów i pożółkłych odbitek nigdy mu się nie dłużyły. Konserwując je, katalogując i opisując często próbował zgadywać kim byli ludzie uwiecznieni przed stuleciem, jak potoczyły się ich losy. Dzięki czasowi poświęcanemu na szperanie w archiwaliach udawało mu się zidentyfikować niektóre osoby z fotografii. W takich razach, wróciwszy do domu, głosem pełnym entuzjazmu dzielił się swoimi odkryciami z żoną. Tak było przez pierwsze lata pracy. Z czasem jednak zaczęły się pojawiać objawy rutyny i znużenia. Niby nic wielkiego, ale bywało, że łapał się na odliczaniu ostatnich kwadransów ośmiodzinnego dnia pracy.

Jak co dzień, o ósmej rano, przyniósł do swojej pracowni aromatyczną herbatę zaparzoną przed chwilą w muzealnej kuchni. Spojrzał na ścienny zegar i stertę materiałów czekających obok skanera na zdigitalizowanie. Tego dnia czekała go mozolna i mało porywająca praca, którą też trzeba wykonać. Już wyciągał dłoń do skanera, kiedy zapiszczał sygnał telefonu. Zapraszał go do swojego gabinetu dyrektor muzeum, Fabiusz Topke.

Rozmowa trwała krótko, a w jej trakcie Marek dowiedział się, że czeka na niego kolejne wyzwanie. Będzie się musiał zająć przejęciem spuścizny po zmarłym profesorze. Cała jego biblioteka i kolekcje miały trafić do muzeum. Ciężarówka lada dzień miała ruszyć w drogę. Zapowiadało się więc Markowi nagłe zerwanie z koleinami codziennych przyzwyczajęń, zwłaszcza, że nowym zadaniem miał się zajmować wyłącznie w godzinach nadliczbowych. Z dyrektorem udało mu się wynegocjować, że sam będzie decydował, jakie to będą godziny. Jako, że raczej był sową niż skowronkiem, postanowił dodatkowym obowiązkom poświęcić noce.

Marek siedzący przy biurku oświetlonym niewielką lampką sięgał po kolejne teczki, które wyjmował z kartonów. Zbiory zmarłego profesora były ogromne i fascynujące, to był prawdziwy człowiek renesansu. Dwie noce wcześniej Marek ze zdumieniem oglądał wspaniałą kolekcję antycznych monet, wśród których było wiele bezcennymi unikatami. Kolejnej nocy wyjął z drewnianej skrzyni kilka dobrze zabezpieczonych do transportu inkunabułów. Nie mógł uwierzyć, że ma w rękach druki z początku XVI w. Zaczął je kartkować, podczytywał łacińskie zdania, niewiele, ale coś tam jeszcze pamiętał z nauki łaciny na studiach. Wyglądało na to, że treść wszystkich sześciu ksiąg ze skrzyni wiązała się

z okultyzmem. Mimo, że był racjonalistą, wiedziony nagłym impulsem odłożył księgi do skrzyni, a jej ciężkie wieko zatrzasnął. Zrobił to zbyt gwałtownie. Wzdrygnął się na głuchy dźwięk, który skojarzył mu się z zamykaniem trumny. Jakby na usprawiedliwienie swojego zachowania mruknął: – Nie powinny tu leżeć te księgi i monety. Trzeba im szybko znaleźć inne miejsce. Zbyt cenne są...

Dochodziła trzecia, już dawno powinien iść do domu. Zaczął się zbierać, poodkładał na swoje miejsca wszystkie teczki z biurka, zdjął bawełniane rękawiczki i przeciwpylową maseczkę. Zgasił lampkę i wyszedł.

Nazajutrz na nadgodziny przyszedł kwadrans po dziesiątej. Otworzył okno i przez chwilę wpatrywał się w ciemności. Z przypałacowego parku otaczającego muzeum dochodziły nocne odgłosy. Szumiały liście i skrzypiały gałęzie drzew poruszanych jesiennym wiatrem, co jakiś czas pohukiwała sowa. Usiadł przy biurku i zapalił lampkę. Leżała przed nim grubo wypchana teczka z wyprawionej skóry. Marek gotów był przysiąc, że poprzedniej nocy zostawił biurko puste. Klucze do pomieszczenia miał prócz niego jeszcze tylko dyrektor muzeum. Ten jednak wyjechał poprzedniego dnia rano na delegację do Budziszyna – bite 700 kilometrów drogi. Wrócić miał za kolejne dwa dni. Skąd ta teczka? To pewno przez zmęczenie – pomyślał. Wzruszył ramionami, lecz mimowolnie zerknął jeszcze w kierunku skrzyni z inkunabułami. Była zamknięta, tak jak ją wczoraj zostawił. W końcu wziął w dłonie teczkę z biurka. Spojrzał na pożółkłą kartkę czerpanego papieru przyklejoną do okładki i przeczytał na głos wykaligrafowany czarnym atramentem napis: „NIE CZYTAĆ!”.

Marek był historykiem. Wiedział, że aby dojść prawdy trzeba szukać..., szukać..., cofać się wstecz do pierwszego – o ile to możliwe – ogniwa. Tam gdzieś jest przyczyna, a przyczyna to skutek, który znów staje się przyczyną. To jest łańcuch – łańcuch tworzący historię.

Na biurku leży teczka, która jest skutkiem. Zatem... – cofnąć się.

Dar zmarłego profesora dla muzeum przywieziono w dwóch ciężarówkach. To, co mieściło się w pokoju Marka wypełniało jedną – gdzie była reszta? Gdzie zawieziono te tysiące ksiąg, tę całą bogatą bibliotekę, którą wiozła druga ciężarówka?

Marek przyznał sam przed sobą, że zafascynowany tym, co mu przekazano – nie zainteresował się księgozbiorem. Skoro „NIE CZYTAĆ!” – to może chodzi o to, by „NIE CZYTAĆ” tego, co jest w jego pokoju, ale szukać – czego? Odpowiedzi – może NAJPIERW – może coś PRZEDTEM? Może – aby zrozumieć to, co jest u niego w kartonach, trzeba

poznać coś WCZEŚNIEJ. Jak mówił Umberto Eco w „Imieniu Róży” – książki pisze się o książkach.

Dosyć tych dywagacji – Marek wyszedł z pokoju, w słabym blasku rzucanym przez awaryjne oświetlenie przeszedł do pomieszczenia, w którym był główny włącznik. Budynek muzeum rozjarzył się blaskiem. Wśród gęstych zarośli otaczającego go parku, załśnił jak najpiękniejszy, baśniowy pałac.

Marek wyszedł ze swoich podziemi. Z parteru, kręconymi schodami – na piętro. Wszędzie panowała nieprzenikniona cisza. Zszedł. Ruszył do drugiego skrzydła – tu schody były strome. Kiedy jeden stopień zatrzeszczał, dźwięk wydał się tak niesamowity, tak przerażający, że Marek poczuł strużkę poty spływającą mu po plecach. Zatrząsł się.

Wolno – nie wiedział, czemu idzie tak wolno, tak cicho – dotarł do pierwszego piętra i... stanął zdumiony. Korytarz pod sufit wypełniony był kartonami.

Marek z trudem oderwał taśmę od jednego z nich, odchylił nieco sztywną teksturę: w kartonie były książki. Czyżby tu – w tych setkach zapisanych stron kryło się wyjaśnienie tajemnicy? Odpowiedź na polecenie „NIE CZYTAĆ”? Czy to oznacza – nie czytać niczego, nie czytać..., może również i tych książek, ale... co? Może po prostu zabrać się za ich porządkowanie? Może dyrektor Topke – jedyny, który miał klucz do jego pokoju, nie wyjechał? A może przed wyjazdem jeszcze zajrzał do niego i zostawił mu to – jakże związane polecenie : NIE CZYTAĆ, a SPRZĄTAĆ?

Marek przysiadł na stopniu schodów i zastanowił się: to nawet było do dyrektora podobne. Dyrektor..., ale przede wszystkim poeta. Marzyciel. Artysta. Muzyk. Śpiewak. Jednocześnie skory do żartów, z poczuciem humoru. Czy możliwe, że pozostawił tę zaszyfrowaną decyzję nie tylko jemu, ale i innym pracownikom?

Sprawdzi to jutro. Teraz – wróci do domu: wślizgnie się do mieszkania, cicho, jak mysz... Czy żona ucieszy się, że wróci wcześniej?

Zrobił pierwszy krok w przód... I obrócił się na pięcie. Dosyć! Dosyć tych rozważań i filozofii. Ruszył truchtem z powrotem do gabinetu. Biegł, by szum w uszach zagłuszył myśli o odwrocie. Usiadł. I myślał. Nie, nie myślał – nie będzie pionkiem durnych myśli. Patrzył na teczkę. A gotycka czcionka napisu „NIE CZYTAĆ” kusila tym bardziej, im dłużej patrzył. Malutkie rączki literek wyciągały swe dłonie ku niemu i ciągnęły. Aż w końcu uległ. Szybko

odwiązał stary sznurek i... cofnął się, jakby zawartość miała wyskoczyć i go przywalić. Nic takiego jednak się nie stało. Marek przejrzał papiery, które zdawało się – mrugały do niego porozumiewawczo. Starość kartek zafascynowała go. Były tak delikatne, że bał się ich dotykać, aby nie rozsypały się w proch historii. W końcu, jakby w kodzie DNA miał zapisane „dotykaj” – zaczął głaskać rękopisy. Było ich kilka. Zapisane drobnym maczkiem wprawnej ręki. Zdecydowanie pochodziły z końca XIX wieku. Marek odłożył je jednak na bok i zajął się czymś dla niego ważniejszym – wśród kartek przyciągały uwagę sepią dwie fotografie. Coś czemu Marek nie mógł się oprzeć. Jako wytrawny znawca, natychmiast ocenił ich wiek. Były bezcenne – jedno z pierwszych, pochodziły z pierwszej połowy XIX wieku. Z pewnością należały do kogoś niewyobrażalnie bogatego. Nie ich wartość finansowa była jednak dla Marka najważniejsza, lecz to, co przedstawiały. Wpatrywał się w pierwszą jak urzeczony. Na pierwszym planie – trójkąt podłogi wyłożonej w szachownicę. W tle – ołtarz, nie zwykły, bo za nim stał rząd foteli. Na jego obrusie zaś widać było niewyraźny znak. Dwie kolumny piętrzyły się po jego obu stronach. Marek powoli zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co to wszystko oznacza. Każdy ma swojego trupa w szafie, a trup Marka śmierdział teraz niezwykle. Na odwrocie fotografii najwyraźniej coś kiedyś napisano. Marek nie mógł się opanować – czyżby to był kwas garbarski?! Pierwszy atrament sympatyczny? Pobiegł do gabloty z chemikaliami. Wziął butelkę soli żelaza i... Tak! Oczom jego ukazały się jakieś znaki. Runy?! Marek odrzucił zdjęcia, jakby raziły go prądem. Zupełnie zapomniał o drugiej fotografii. Dopadł rękopis. Już nie zważał na delikatność papieru. Łapczywie pochłonął nagłówek, jak narkoman. Przeczytał: „Do Czcigodnego Pana Władysława Hejwerowskiego!” i datę w prawym górnym rogu : Wejherowo, 19 maja AD 1893.

Zawahał się. Poczuł pustkę w głowie. Twarz Marka przemieniła się w jasny pergamin, jego dłonie zaczęły drżeć, a po plecach pociekła strużka słonej, lodowatej cieczy. „Nie, nie powinienem”, pomyślał. Odłożył na miejsce zawartość teczek. Jeszcze nigdy nie wykazał się takim brakiem posłuszeństwa. Przecież to może być niezgodne z prawem. Może doprowadzić go prosto za kratki. Może poważnie rozzłościć przełożonego, spowodować utratę ciężko wypracowanej posady.

Jego myśli przerwał niespodziewany szelest. Marek zaczął nasłuchiwać. Odgłos przypominający cichy trzask starych drewnianych desek roznosił się głucho po całym pomieszczeniu. Brzmiał niczym stąpanie drobnych nóżek wzdłuż sufitu. Może jednak to nie był sufit... W jednej chwili dochodził z góry, potem zza ściany obok, chwilę później z dołu. Zerknął przerażonym wzrokiem na swoje stopy. Rozwiązane sznurowadło lewego buta

ułożyło się w łuk, jakby posyłało mu uśmiezek niesfornego dziecka. Historyk przykucnął, władczym ruchem chwycił sznurki, gdy nagle coś gwałtownie uderzyło w okno. Krucha szyba runęła na podłogę. Tysiące drobnych lśniących szkiełek musnęło plecy Marka. Instykt historyka nakazał przeszukać wzrokiem pomieszczenie. Pod iskrzącymi się okruszkami leżał stalowy pion, który jakimś cudem oderwał się od niezwykle emocjonującej gry w szachy i postanowił zostać twórcą panującego tu bałaganu. Marek wybiegł na zewnątrz. Przed budynkiem nikogo nie zauważył. Panowała ciemność. W jednej chwili mignął mu między drzewami cień jakiejś postaci. Serce podskoczyło mu do gardła. Szybkim krokiem wrócił do gabinetu. Ujrzał opustoszałe biurko. Teczka zniknęła! Jakby wyparowała w jednej chwili. „Nie, to niemożliwe!”, wystraszył się. Teraz dopiero wpadł w tarapaty. Brak teczki oznacza większe kłopoty, niż zapoznanie się z jej zakazaną zawartością...

– Jasny gwint i zardzewiała śrubka! – zaklął, choć był niezwykle spokojnego usposobienia. Dół Bóg dzień – dół i radź – pomyślał i wrócił do analizy spuścizny po profesorze. Wziął do ręki pierwsze z brzegu zdjęcie. Wysoki mężczyzna w kapeluszu na tle dworku. U jego stóp przysiadł pies myśliwski. Hrabia Łuszkarski. Ani chybi on. Marek sięgnął po „Wielką Księgę Skandali”. Łapczywiec, Łebski, Łopaczewska... Jest! Łuszkarski. Hrabia. *Właściciel majątku Kompino. Często gościł na łamach ówczesnych kronik towarzyskich. Nasłyniejszy ze skandali wiązanych z jego osobą dotyczył uwiedzenia zakonnicy z klasztoru w pobliskim Czarnowcu. Siostra Bognisława po opuszczeniu zakonu stała się jego towarzyszką życia. Z tego związku narodziły się dwie córki: Lidia i Magdalena. Pierwsza wyszła za pruskiego marszałka von Stoppa, druga poślubiła szenwaldzkiego lekarza-filantropa Zdzisława Towieckiego. Hrabia Łuszkarski znany był z pasji myśliwskich. Niepotwierdzona pozostaje informacja o postrzeleniu podczas polowania...*

Brzdęk! Szuranie. Odgłos włączenia po podłodze. Muzealnik otrząsnął się ze zdziwienia i raptownym ruchem przesadził trzy metry dzielące go od źródła hałasu. Coś mignęło w kącie.

– Stój! Nie próbuj stąd zwać! Wyłaź! – ryknął i chwycił sześciokilogramowy zabytkowy przycisk do papieru. Za masywną szafą z orzecha włoskiego wyraźnie coś się kotłowało. Marek zważył w dłoni ciężki przyrząd, którym codziennie przytrzymywał stertę papierów. Muzealne przeciągi nie znały litości i częstokroć pisma z logo instytucji fruwały między działami, niczym na zajęciach ze sztuki czarowania w Hogwarcie.

– Rzucę – dedukował – wyleci w drugą stronę – podstawię mu nogę i przyduszę. Zatrzymał się. Negocjacja. Spróbuję najpierw po dobroci.

– Proszę się natychmiast ujawnić, albo użyję przewidzianych prawem środków, aby zapobiec kradzieży dobra kultury, z wykorzystaniem siły fizycznej włącznie! Starał się mówić głośno i wyraźnie, przecież reprezentował w tym momencie Państwo. Przycisk w dłoni ciągnął go niemilosiernie w dół. Brak reakcji zza szafy. Lekki szmer.

– Trudno. Sam tego chciałeś – wymamrotał i sześć kilogramów zadudniło o ścianę. Marek jednym susem okrążywszy szafę znalazł się naprzeciw intruza.

Stanął jak wryty. Przycisk do papieru odłupał od ściany spory kawałek tynku. Za szafą leżała zagubiona teczka, na której siedział złodziej. Spoglądał na pracownika muzeum bardziej zaintrygowany niż zaskoczony. Nawet uniósł głowę w jego stronę i badawczo próbował wywąchać przeciwnika. Szop. Szop. Pracz. Znad Zedronu.

Tak przeżywano go w Wejherowie, bo co najmniej raz w tygodniu lał swoją żonę lub dzieci. Okropna postać budząca odrazę, nadużywająca alkoholu, wiecznie awanturująca się o wszystko i ze wszystkimi. Zmora kolejnych dzielnicowych, sąsiadów i złomiarzy. Fryderyk Szop sprzedawał wszystko, co wpadło w jego zorane, brudne dłonie, zakończone czarnymi pazurami.

Kurpiecki znał go od dawna, bo nie raz przyłaził zawiany do muzeum chcąc sprzedać kolejny artefakt, znaleziony na śmietniku lub w jakiejś melinie. Fryderyk zazwyczaj potrzebował się napić... Z reguły przynosił typowe śmieci, nie warte funta kłaków...

– Wychodź łajzo! Półtora centymetrów i miałbyś głowę w dwóch kawałkach! – wrzasnął Marek zdyszonym głosem. Oddychał szybko i płytko. – Wystraszyłeś mnie – przyznał zdziwiony. Odruchowo chwycił za włącznik światła i po chwili zamigotały uśpione jarzenówki, które rozświetliły mrok.

– Co się tak pieklisz, panie Kurpiecki? – spytał niewzruszony intruz mrużąc oczy. – Czemu nazywasz mnie łajzą? – spytał Szop udając niewiniątka, jakby jego obecność w muzeum, grubo po 22.00, była czymś normalnym.

Mężczyzna około pięćdziesiątki, ze spuchniętą twarzą i wielkimi worami pod czarnymi, błędnymi oczami, wstał z podłogi otrzepując się z kurzu, trzymając w dłoniach tajemniczą teczkę. Miał na sobie miodowy, porozciągany sweter i zakurzone, wypchane w kolanach spodnie. To był chyba jakiś mocno wyświechtany sztruks lub inny materiał o podobnej strukturze.

– Coś przykleiło ci się do rączek, panie Szop. – powiedział pewnym głosem Marek. – Nie wiedziałem, że interesują cię stare rękopisy. Szczerze mówiąc nie podejrzewałem, że Szop Prac w ogóle potrafi czytać.

– To? – intruz pomachał mu przed oczyma skórzaną teczką.

– Oddaj, jeszcze zniszczysz! – warknął zniecierpliwiony historyk.

– Ani mi się śni! – odpowiedział tamten.

– Chyba nie chcesz Szop żebym wezwał policję! – zagrzemiał licząc naiwnie, że mężczyzna przestraszy się i spełni jego żądanie.

No i miał rację. Fryderyk wyraźnie spanikował. Słowo POLICJA podziało na niego jak elektrowstrząsy. W końcu włamanie z usiłowaniami kradzieży to jakieś rok do dziesięciu lat odsiadki, a on nie miał zamiaru znowu trafić do pierdła.

Nagle poczuł, że czym prędzej musi się wydostać z tego pieprzonego muzeum. W końcu nie wiadomo było, czy portier nie wezwał glin przed Kurpieckim. Jakby nie było wcześniej narobił trochę hałasu w sali muzycznej zahaczając o diaboliczne skrzypce.

Na jego drodze stała w tej chwili tylko jedna przeszkoda – dryblas chcący zabrać mu jego przepustkę do lepszego, bogatszego życia.

– Ten profesor, stary dureń, nie powinien babrać w przeszłości szanowanych obywateli – bąknął Fryderyk niczym upadła Temida.

– Szanowanych obywateli? – zdziwił się historyk. – Wiesz co jest w tej teczce? Kto cię tu przysłał?

Mężczyzna z całych sił odepchnął Marka, który zachwiał się i padł jak długi, uderzając głową o kant biurka.

W pokoju znów było ciemno. Przez niedomknięte drzwi czuć było powietrze krążące pod drzwiami muzealnych sal i gabinetów. Z oddali słychać było kroki. Ktoś szedł na górę po schodach...

– Rany boskie! Panie Marku? Żyje pan? – woźny delikatnie potrząsał Marka za ramię.
– Obudź się pan! – woźny nie dawał za wygraną.

Marek otworzył oczy. Tępy ból dał o sobie znać.

– Gdzie ja jestem? – zapytał.

– Panie Marku, pan żyje! Dzięki Bogu! – woźny nie ukrywał radości. – Ja wody przyniosę i apteczkę.

Marek próbował wstać, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Próbował kilkakrotnie, ale jak leżał tak leżał.

– Panie Władku, panie Władku! Pomoże mi pan wstać?

Pan Władek przybiegł zdyszany. W rękę trzymał apteczkę.

– Panie Marku, ostrożnie pan wstaje, bo nigdy nic nie wiadomo. Wstrząśnienie mózgu może być, albo inny uraz.

– Tak panie Władku, ma pan rację. – Marek próbował odwdzińczyć się za pomoc.

– Jaka cholera pana tak urządziła? Albo pan komuś nadepnął na odcisk, albo może kto z zazdrości, że pan taki uczony jest.

– Panie Władku, ryzyko zawodowe. – Marek próbował się uśmiechnąć.

Dobroduszny Władek próbował ulżyć w cierpieniach Markowi. Ten jednak nie zwracał uwagi na woźnego. Myślni był przy Szopie. Miał nadzieję, że uda się odzyskać rękopis.

Woźny zadawał proste pytania. Marek posłusznie odpowiadał: – tak..., nie boli..., trochę..., będę uważać..., dziękuję....

Później rutynowe pytania zadawał słusznej budowy policjant. Marek był już zmęczony. Bardzo chciał wrócić do domu. Jakież było jego zdziwienie, kiedy w drzwiach muzeum zobaczył Szopa z teczką pod pachą.

– Ja do pana, panie Marku – nie urywał zadowolenia. – Na pewno to pana zainteresuje – i pokazał znajomą teczkę.

– Co on knuje? – Kurpiecki nie ukrywał złości. – Najpierw kradnie potem w chwale oddaje. Ja on wszedł do muzeum? Przecież wszędzie drzwi były zamknięte... Sam otworzyłem... Co on knuje, ten Szop Pracz znad Zedronu. Kim on naprawdę jest?

Nagle zza pleców żulika wyłoniła się inna, też dobrze znana Markowi postać – acz innej zupełnie proveniencji. Odyn Miłosławski, emerytowany gliniarz, a do tego popularny bluesman i właściciel „polskiego harleya”, czyli starego motocykla junak. Odyn powoli zdejmował staroświecki kask, odsłaniając burzę siwych i długich włosów. Widać zajechał pod pałac swym junakiem wtedy, gdy Marek był nieprzytomny (dlatego nie obudził go jazgot silnika).

Z Zawróciłem gagatka w ostatniej chwili – wychrypiął z satysfakcją. – Usiądźmy tu sobie razem, to wszystko się wyjaśni... Ile ciężarówek z książkami profesora przyjechało do muzeum? – spytał Marka.

– Chyba dwie – odrzekł niepewnie muzealnik.

– Guzik prawda! Trzy! Dwie duże i jedna mała, ale opancerzona jak milicyjna „suka”. A wiesz czemu „suki” są opancerzone? Żeby nikt ze środka nie uciekł. I to mi się nagle nasunęło: znajdująca się tam część ksiąg była nie tyle zabezpieczona przed kradzieżą, co raczej przed tym, by na świat nie wydostała się zawarta w nich GROZA.

– Oj, Odynie – przerwał Kurpiecki – ty zawsze fantazjowałeś. Nawet w czasach, kiedy – jak mawia mój znajomy finansista Toma Gulski – jedyną dopuszczalną irracjonalnością była gospodarka... Od takich historii specjalistką jest raczej moja żona, od lat uczestnicząca w konkursie „Technienie Muzy”...

Miłosławski prychnął gniewnie – Moja rodzina pochodzi z dawnych kresów wschodnich, a tu mamy dawne kresy zachodnie. Nie doceniasz mroku kryjącego się na pograniczach, ani tajemnej wiedzy na ten temat...

Woźny wzruszył w tym momencie ramionami, ale Szop wyraźnie pobladł, zaś nasz historyk – wspomniawszy ostatnie dni – zaczął słuchać uważniej.

– Widzisz, mój drogi, księgozbiór profesora, to nie tylko dorobek językoznawczy tego skromnego i poczciwego naukowca, ale także niezwykle zapiski o wartości historycznej i nie tylko. Podczas ostatniego spotkania z profesorem wyjawiał mi pewną tajemnicę, ale nie wiem czy mogę o tym mówić – mówi Odyn próbując zmienić temat.

– Możesz mi zaufać – szepnął Marek obmacując swoją obolałą głowę. – Jak widzisz ktoś próbował mnie zastraszyć tylko dlatego, że zacząłem się wczytywać w zapiski profesora. Może to oznaczać, że tu nie chodzi tylko o literaturę, ale o coś więcej.

– Dobrze myślisz. Tu nie chodzi o literaturę, ale o tajemniczy skarb, nad którego odnalezieniem profesor pracował przez całe życie. Żeby jego dociekania nie wpadły w niepowołane ręce prowadził notatki pisane osobiście opracowanym szyfrem, a jego konstrukcję gdzieś ukrył. Gdzie, tego nikt nie wie – dodał Miłosławski. – Nigdy bym nie przypuszczał, że profesora może interesować jakiś skarb. To bzdura – stwierdził Marek.

– Hmm... może to się wydawać absurdalne, ale przeglądając kronikę Ojca Grzegorza natrafiłem na pewien trop. Wiąże się to z powstaniem Wejherowskiej Woli, budową kościołów i Kalwarii Wejherowskiej. Według profesora Jakub Wejher nie był taki bogaty aby wybudować miasto. Z samych łupów wojennych i podatków nie byłby tego w stanie zrealizować. Mogę Ci tylko powiedzieć, że profesor studiując dokumenty historyczne znalazł zapiski szwedzkiego kronikarza o tym, że wojska szwedzkie opuszczając Pomorze po przegranej wojnie z Koroną ukryły znaczne bogactwa zgrabione podczas wojny. Znalazł je ponoć w swoich włościach Jaśnie Pan Wejher i czerpał z nich pełną garścią za życia. Niestety żył krótko i swoją tajemnicę zabrał do grobu. Ale nie całkiem?

– Odyn, ty wiesz coś, co może wywołać nie lada sensację...

– Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, bo osoby, które próbują zgłębić tę tajemnicę, giną w dziwnych okolicznościach. Młody jesteś, masz przed sobą życie. Zostaw to innym – odparł Miłosławski. Wsiadł na swój motocykl i odjechał.... Jakby żałował swych słów.

Kurpieckiemu zakręciło się w głowie. Wrócił do swojego gabinetu. Usiadł zmęczony na zabytkowym fotelu i zasnął. Miał dziwny sen...

Siedział na widowni pobliskiego amfiteatru. Trwało w nim jakieś fascynujące przedstawienie. Scena zabudowana była dekoracjami wielkości trzykondygnacyjnego budynku pomalowanego motywami haftu kaszubskiego. Na scenie ustawiło się kilka chórów, których głosy starał się zsynchronizować... jego szef, Fabiusz Topke!

Z lewej strony stanęło kilkunastu starszych panów w eleganckich garniturach. Po kilku nutach podanych przez prowadzącego chór młodego kantora krzepcy chórzyści gromkimi głosami zaintonowali kaszubską piosenkę „Hej żeglarzu”. Słyszac to następny chór pod wodzą piekielnie pięknej brunetki złożony z panów i pań w najmodniejszych kreacjach modowych zagrział pierwsze tony „Ody do radości” Beethovena z 1823.

Pieśni te wywołały wyraźną konsternację trzeciego choru, który szybko ustawił się na scenie i wpatrzony w swą leciwą dyrygentkę zaintonował pieśń „Bogurodzica”.

Nie pomagały pomruki głównego dyrygenta Fabiusza Topke. Nic nie dało jego stukanie w mikrofon, ani znaki dawane rękoma. Każdy z chórów wpadł w artystyczny amok i starał się jak najgłośniej wykonywać swój utwór. Jednak z czasem centralnie ustawiony zespół pięknej brunetki zaczął przejmować dominację nad sceną. Wówczas fani pozostałych chórów do tej pory spokojnie siedzący na widowni zaczęli pokazywać swoje niezadowolenie. Najpierw wkurzeni widzowie okrzykami starali się nakazać zaprzestanie wykonania „Ody do radości”, jednak gdy to nie skutkowało ruszyli na scenę. Po kilku minutach na scenie kłębił się wielki tłum, nad którym dyrygent całkowicie stracił kontrolę.

Przerażony Marek próbował wstać i ruszyć na pomoc swojemu szefowi, jednak jakaś niemoc uniemożliwiła mu wszelkie ruchy. Nagle usłyszał wielki rumor i zobaczył, jak pod kłębiącymi się postaciami tworzy się wielka dziura w scenie! Wszyscy runęli! O dziwo jednak zamiast huku Marek usłyszał plusk wody. Domyślił się, że pod sceną przepływała podziemna rzeka. Wszyscy chórzyści wraz z Fabiuszem Topke zostali porwani przez nurt rzeki. Na szczęście tuż obok zacumowane były rowery wodne o przedziwnych kształtach: łabędzi, taksówek, samochodów policyjnych, karet. Ocaleli chórzyści dobili do brzegu, zaś Marek ruszył ku wielkiej wyrwie w ziemi. To, co zobaczył, zaskoczyło go bardzo. I prawie już zrozumiał, gdy nagle... sen się skończył.

Kurpiecki otworzył oczy i ujrzał pochyloną nad sobą zatroskana twarz żony.

– Nareszcie – westchnęła z ulgą – obudziłeś się. A już chciałam wzywać pogotowie.

– Która to godzina? –zapytał zdziwiony Marek.

– Dziewiąta rano – odpowiedziała żona. – Przespałeś tu całą noc. Miłosławski uprzedził mnie, że masz za sobą ciężkie przejścia związane z napadem, uderzeniem, poszukiwaniem zaginionego manuskryptu. Więc może zawiozę cię do doktor Dorszowej, zrobimy badania i ewentualnie ustalimy leczenie, jeżeli prześwietlenie coś wykaże. Oprzyj się na mnie, zaprowadzę cię do samochodu. A tu proszę popij, hydroxyzyna...

Marek posłusznie sięgnął po uspokajający napój proponowany przez żonę, lecz nagle falowanie płynu w szklance coś mu przypomniało: sen, woda, dziura w ziemi...

Wzmocniony nagłym uderzeniem adrenaliny, odtrącił ramię zszokowanej żony i bez słowa wybiegł do parku okalającego budynek muzeum. Czy to z powodu uderzenia, czy też działającego już leku, nogi wydawały się nieść go same. Jak w transie trafił do znajdującego się w głębi parku amfiteatru, tego samego, który pojawił się we śnie. Z niemałym wysiłkiem wspiął się po drewnianych schodach na scenę i przyglądał się konstrukcji.

– Może jeszcze jakaś wskazówka, profesorze? Pofatygowałeś się z podsunięciem tropu we śnie... Ale jak połączyć te wszystkie puzzle...

Umysł Marka, choć pracował na najwyższych obrotach, wydawał się płatać mu figle, a jednym z nich była ta osobliwa rozmowa ze zmarłym profesorem.

– Tu jesteś! – nagły krzyk zdyszanej żony wyrwał go z amoku. – Nie wiedziałam, że kontuzjowany potrafisz tak szybko biegać! Wszędzie cię szukałam... Myślałam, że zapadłeś się pod ziemię!

Czasem wystarczy jedno, dwa słowa, żeby umysł potrafił pokierować naszymi myślami w odpowiednim kierunku. Taki właśnie proces wystartował w zmęczonym umyśle Marka, tuż po ostatnich słowach jego żony, Leny. Najpierw poczuł niczym nie uzasadniony przypływ miłości do tej kobiety, którą, jak się okazuje, nie bez powodu nazywał przez całe życie swoją Muzą. Chwilę później sięgał już po telefon komórkowy i ku przerażeniu Leny, zamówił ekipę remontową z ciężkim sprzętem.

– Tylko nie wracaj za wcześnie, Topke... – powiedział jeszcze do siebie, a później zwrócił się do oniemiałej żony:

– Po pierwsze: nic mi nie jest, jak widać twoje lekarstwa potrafią zdziałać cuda – uśmiechnął się przy tym promiennie, co, jak zwykle oznaczało, że próbuje ją do czegoś nakłonić.

– Po drugie: nie mogę ci niczego powiedzieć, póki sam nie przekonam się, czy mój zbląkany umysł muzealnika jest jeszcze czegoś wart. Jedź, proszę, teraz do domu. Kiedy wszystko się wyjaśni wrócę i odpowiem na każde twoje pytanie.

Lena, która doskonale знаła męża, wiedziała, że nie jest w stanie do niczego go przekonać. Wiedziała, że wpadł w niezłe tarapaty, ale widziała też, że może być jeszcze gorzej.

– Co będzie jeśli się mylisz? – zapytała tylko.

– Wtedy przyjdzie czas na zmianę pracy – odparł krótko.

Kolejne godziny Lena spędziła na oczekiwaniu w domu, a Marek i wszyscy pracownicy muzeum, którzy zbiegli się na widok nadjeżdżających do parku koparek, na obserwowaniu powiększającej się dziury w środku parku... Marek miał szczęście, że nikt nie wpadł na to, żeby zaalarmować służby porządkowe, albo, co byłoby gorsze, władze miasta. Po długich godzinach pracy ciężkiego sprzętu, z pięknego amfiteatru zostały tylko gruzy...

Tłum wokół tego spontanicznego placu robót zmniejszał się. Przed północą, przez warkot koparek przedarł się wrzask operatora koparki: – Uwaga!!!

Później słychać było głośny plusk...

Marek zgodnie z obietnicą wrócił do domu i obudził żonę, by o wszystkim jej opowiedzieć.

– Jesteś... – wymamrotała – masz jeszcze pracę?

Marek uśmiechnął się – Nie tylko mam pracę, ale kto wie, może awansuję?

– O czym ty mówisz? – Lena z wrażenia usiadła na łóżku. – Powiesz mi w końcu, o co w tym wszystkim chodzi?

Choć wykończony serią zupełnie niewyobrażalnych zdarzeń, postanowił opowiedzieć o wszystkim. W jego głosie znów usłyszała ten entuzjizm z pierwszych lat pracy...

– Profesor, którego spuścizna (a przynajmniej jej część, jak się okazało) dotarła do naszego muzeum, zajmował się nie tylko literaturą, ale i historią. W swoich badaniach trafił na ślad niejakiego hrabiego Łuszkarlowskiego, „szanowanego obywatela”, jak nazwał go dobrze nam znany Szop i skandalisty, jak nazywali go inni. Oprócz hulaszczego życia, znany był też z szantażowania wielu osób. Kiedy w jego ręce wpadła jakaś informacja, nigdy nie wahał się, żeby odpowiednio ją wykorzystać. Nie wiem kiedy i w jakich okolicznościach, ale odkrył tajemnice skrywane przez Jakuba Wejhera. Nie wiem też, ile jest prawdy w legendzie o pozostawionym przez Szwedów skarbie, ale na pewno odkryli oni coś, co okazało się cenniejsze niż złoto – pokłady łupków osadowych!

– W Wejherowie? – Lena ocknęła się z zamyślenia.

– Tak, wyobraź sobie, że tuż pod naszym nosem! To właśnie miał przykryć park! Podziemną rzekę z pokładami łupków na jej dnie. Nikt nie miał się o tym dowiedzieć. Była ta najpilniej strzeżona tajemnica. Łuszkarlowski, który trudnił się ich sprzedawaniem, zginął na polowaniu... Czy był to przypadek? Nie wiem..., ale wiem, że w teczce profesora znalazłem list, który zaczął pisać do Władysława Hejwerowskiego – ówczesnego doradcy samego króla!

– To brzmi jak jakiś kryminał... Chyba za daleko zabrnąłeś. Po co ktoś miałby to ukrywać?

– Nie jestem pewien, ale już w czasach Wejhera działały organizacje, które dzisiaj nazwalibyśmy ekologicznymi. Mieli tylko bardziej drastyczne metody działania. Może Wejher nie chciał dopuścić do wybuchu jakichś zamieszek? Wtedy mógł też nie wiedzieć ile takie łupki i uzyskiwana z nich energia mogą być warte...

– Co teraz będzie?

– Nie wiem. Przynajmniej mogę być spokojny o pracę. Wieści, nawet w nocy, szybko się rozchodzą. Dzwonił do mnie sam prezydent z gratulacjami! Stawiając amfiteatr nie mieli pojęcia, o tym, co kryje się pod spodem. Lena! Ta ciężarówka z materiałami profesora, która do nas nie dojechała, może kryć więcej takich sensacji! W jednej teczce znalazło się tyle tropów: okultyzm, tajemnicze teksty z XIX wieku, „mrok pogranicza”, jak mówił Miłosławski! Swoją drogą, wiesz, że on zniknął po tym jak opuścił muzeum? Nie ma z nim kontaktu. Ciekawe, gdzie podział się on i ta ciężarówka wypełniona owocami lat pracy profesora... Co jeszcze się tam kryło?

Markowi nie dane było poznać odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale do końca życia pracował jako muzealnik. I nigdy już nie czuł się znużony śledzeniem losów ludzi uwiecznionych na starych fotografiach...